

Czyta: #TataMariusz



Hans Christian Andersen

Dzwony



Utwór udostępniony na Licencji Wolnej Sztuki
(szczegóły licencji >> [klik](#) <<).



Czyta:
#TataMariusz

W wielkim mieście, wśród gwaru i wrzawy ulicznej, w chwili, gdy słońce kryło się za domy i tylko niebo jaśniało jak złote pomiędzy kominami, słychać było czasem dźwięk szczególny, podobny do odgłosu dzwonu. Zdarzało się to rzadko i na krótką chwilę, gdyż turkot głużył tajemnicze tony, a ludzie tak byli zajęci rozmaitymi sprawami, iż nie zawsze zwracali uwagę na wszystko, co dokoła nich brzmiało. Dziś ten usłyszał ów dzwon, jutro inny, każdy spoglądał w górę i powtarzał: — Słońce zachodzi.

Ci jednak, którzy mieszkali za miastem lub byli przed wieczorem na przechadzce między małymi wiejskimi domkami, pośród pól i ogrodów, ci lepiej widzieli prześliczne niebo złoto-purpurowe i wyraźniej słyszeli odgłos dzwonu. I zdawało się wszystkim, że to dzwon kościelny, płynący z głębi lasu, który czernił się w oddali, i w tę stronę zwracały się wszystkie spojrzenia.

Na koniec ludzie zaczęli rozmawiać o tajemniczym dźwięku, który nie był przecież złudzeniem, choć nie wiadomo, skąd pochodził, skoro go słyszało tylu. Bardzo wiele osób żartowało z tej historii, dowodząc, że nigdy, pomimo uwagi, nigdy nie słyszeli podobnego głosu ani o zachodzie, ani o wschodzie słońca.

— A jednakże coś dźwięczy — odpowiadali inni. — Tylko — czy to dzwony? Czy kościelne? Czy naprawdę płyną z tego cichego lasu? Dźwięk jest jakiś dziwny, dziwnie potężny, silny, chociaż niby daleki.

Można by to sprawdzić.

Bogaci i biedni zapragnęli jednocześnie udać się do lasu, jedni wyruszyli powozami, piechotą drudzy. Droga okazała się jednak daleka i wielu powróciło zniechęconych, a inni, znalazłszy się pośród zieloności i rozkosznego cienia, poprzestali na wypoczynku. Przyjemnie było leżeć na mchu miękkim, pod giętkimi gałązkami brzoź płaczących, przez które przedzierały się promienie słońca. Jakiś cukiernik z miasta rozpiął tu swój namiot i sprowadził



słodki towar. Drugi zrobił to samo, ale nad namiotem zawiesił dzwonek, bardzo zgrabny i świecący, aby mu wabił gości.

Po powrocie do domu wszyscy zapewniali, że wycieczka do lasu jest przyjemna; trzy osoby utrzymywały, że przebyły go aż do końca, nie zważając na utrudzenie i przeszkody; dźwięk dzwonu słyszały ciągle i wyraźnie, lecz tam zdawało im się, że pochodzi z miasta. Ktoś napisał nawet bardzo ładną piosenkę, porównując dzwon do głosu matki, śpiewającej dla swego dziecka.

Dowiedział się na koniec i król tego kraju o tajemniczym dzwonie, więc kazał ogłosić, że kto naprawdę wykryje, skąd płyną cudowne dźwięki, ten otrzyma tytuł „Najwyższego dzwonnika” nawet w takim razie, gdyby się okazało, że dzwonu nie ma wcale.

I znowu podążyło wielu w stronę lasu, lecz jeden tylko przyniósł pewne wyjaśnienie. Nikt nie przeniknął w puszcze dość głęboko i wielki wynalazca nie zbadał jej wnętrza, twierdził jednakże, iż słyszał głos dzwonu i poznał jego źródło. Jest to wielka sowa, jak utrzymywał, która zamieszkała w pustym pniu drzewa; stąd drzewo potęguje głos jej silnym echem. Trudno wszakże rozwiązać ciekawe pytanie, co mu nadaje takie podobieństwo do kościelnego dzwonu? Czy to przymiot sowy, czy też drzewa?

Sumienny badacz otrzymał tytuł zasłużony „Najwyższego dzwonnika”, i od tego czasu co rok wydawał dzieło uczone o sowie. Lecz wszyscy tyle wiedzieli, co przedtem.

Była wiosna. Dzień piękny, jasny i słoneczny. Gromadka dzieci, wesółych, niewinnych, biegła za miasto. Ukończyły trudny rok szkolny, rodzice byli z nich zadowoleni, nauczyciele także, więc czuły w duszy pogodę i błogostawieństwo, były szczęśliwe.

Wtem słońce pochyliło się nad widnokrzem, a zza lasu wyraźnie dał się słyszeć dzwonek, donośny, czysty, dźwięczny.



— Chodźmy tam wszyscy razem! — zawołały dzieci. — Może go dziś znajdziemy.

Troje tylko nie chciało należeć do wyprawy: dziewczynka, która śpieszyła do domu, gdyż dziś przymierzyć miała pierwszą sukienkę balową; chłopczyk, który pożyczył szkolny mundurek od przyjaciela, gdyż własnego nie miał, a teraz musiał zwrócić go przyjacielowi i drugi chłopczyk, który się tłumaczył, że nie może iść nigdzie bez pozwolenia rodziców.

Reszta wesóło ruszyła do lasu. Trzymali się za ręce i śpiewali głośno, na wyścigi z ptaszkami; chłopcy i dziewczęta, wszyscy się czuli równi w szkolnym koleżeństwie i wobec Boga; dusze mieli czyste, niewinne serca, więc byli tak szczęśliwi, jak może nigdy już potem na świecie.

Lecz dwie młodsze dziewczynki zmęczyły się wkrótce i wróciły do miasta; dwoje innych dzieci na brzegu lasu wołało pleść wieńce; inne skusił wreszcie namiot cukiernika.

— Jesteśmy w lesie, czyż nam tu nie dobrze? Po co się męczyć dłużej? Naprawdę przecież dzwonu żadnego nie ma, tylko sobie ludzie tak wyobrażają.

Wtem zabrzmiał uroczyście dźwięk taki potężny i tak cudownie czysty, że kilkoro dzieci wyrzekło się spoczynku, ażeby iść dalej za tym głosem. Było ich niewiele; w sercach trojga lub czworga ten dźwięk dziwny i tajemniczy przemówił silniej, niż wszystkie pokusy.

I poszli znowu.

Ale droga teraz była trudniejsza, a właściwie nie było nawet ścieżki. Musiały się przedzierać przez leśną gęstwinę, przez masę drzew splątanych kolczastą jeżyną, dzikimi malinami i powojem. Konwalie i storczyki rozlewały zapach upajający, słowiki śpiewały, a promienie słoneczne, niby złote strzały, padały przez gałęzie.



Wspaniale tu było, uroczyście, świątecznie i dziko zarazem, bo wszystko rozwijało się swobodnie, bez woli i pomocy ręki ludzkiej.

W jednym miejscu leżały kamienie ogromne, mchem różnobarwnym niby kobiercem okryte. Czyste źródło wytryskało z ziemi i jasna woda pluskała po głazach jak dzwonek szklany.

— I to także dzwonek — rzekł jeden z chtëpców, kładąc się na ziemi.
— Warto postuchać.

Nie chciał iść już dalej, był zmęczony. Koledzy odeszli bez niego.

Bardzo daleko w lesie, na jednej polance, znaleźli dziwny domek z kory drzewnej i gałęzi, zbudowany dokoła rozłożystej, starej jabłoni. Wielkie konary drzewa rozpostarły się nad dachem jak ręce opiekuńcze, pełne błogostawieństwa i owocu; dzikie róże pięły po ścianach kolczaste, lecz kwieciste gałązki, a na szczycie drzewa zawieszony był mały dzwonek.

— Czyżbyśmy ten słyszeli tak daleko?

Wszyscy byli tego zdania, jeden tylko twierdził, że to być nie może. Dzwonek jest za mały, aby go słyszeć było w takim oddaleniu i nie wydaje takich wzruszających dźwięków, jakie głos tajemniczy budził w sercach ludzi.

Ten, który utrzymywał tak, był królewiczem, więc inni powiedzieli, że dlatego chce być mądrzejszy od towarzyszy i mieć swoje zdanie.

Znowu się rozłączono. Wszyscy pozostali przy małym dzwonku na dzikiej jabłoni, ciesząc się szczerze ze swego okrycia, a królewicz sam jeden poszedł dalej. Otoczyła go cisza i samotność lasu i napętniła mu serce uczuciem, którego nie znał dotąd. Z daleka słyszał lekki, przyjemny dźwięk dzwonka na jabłoni; czasem wiatr przynosił mu ton daleki, delikatny, cukiernickiego dzwonka z namiotu pod lasem, ale oba te głosy nie miały nic wspólnego



z dźwiękiem oddalonym, silnym i potężnym, który w lesie brzmiał chwilami, niby organy, gdzieś na lewo, po stronie serca.

Nagle coś poruszyło się między krzakami i wysunął się ubogi chłopczyna w krótkiej kurteczce i ciężkich sabotach. Był to ten sam, co nie mógł iść razem do lasu, bo musiał odnieść pierwaj pożyczony mundurek szkolny i skórzane buty. Nie wytrzymał jednak w domu, dzwon leśny wzywał go dzisiaj z niezwykłą potęgą.

— Chodźmy razem — rzekł królewicz do kolegi.

Ale ubogi malec wstydził się swego ubrania, więc powiedział, że nie może chodzić prędko, przy tym zdawało mu się, że dzwon brzmi na prawo.

— W takim razie nie spotkamy się zapewne — powiedział syn królewski i życzliwie skinął mu głową. Chłopiec szybko skierował się pomiędzy ciernie i najgęstsze zarośla i szedł za głosem serca, chociaż ostre kolce szarpały mu suknie, kaleczyły twarz i ręce.

I królewicz niejedną miał kresę na twarzy, ręce i nogi nosiły też ślady trudnej podróży, ale jasne słońce rzucało mu promienie na obraną ścieżkę, więc dążył za nim śmiało.

— Muszę dzwon odnaleźć, choćbym zaszedł na koniec świata — mówił sobie. — Odnajdę go. Prędzej nie wrócę do domu.

Niestrudzony szedł dalej i dalej, powoli otaczały go dziwy nieznanne, niespotykane dotąd. Wielkie ptaki krążyły ponad jego głową, nawołując się głosem donośnym i przykrym; do małych podobne zwierzęta krzyczały z konarów drzew, groźnie wstrząsały pięściami, albo rzucały nań twarde owoce.

Dokoła znowu najdziwniejsze kwiaty: błękitne tulipany, purpurowe lilie, różowe narcyzy, jabłonie, okryte owocem przezroczystym i błyszczącym, niby mydlane bańki. A wszystko błyszczący, jaśniej i pachnie. Na aksamitnej trawce igrają jelenie i sarny płocze, dęby



i buki wznoszą dumne czoła, niby królowie lasu; tu ciche jezioro drzemie pod cienistymi konarami drzew starych, białe łabędzie mkną po nim leciuchno, podniósłszy skrzydła, jak żagle wydęte.

I nieraz zatrzymywał się królewicz oczarowany pięknosciami lasu i nastuchiwał, czy nie znad jeziora płynie głos dzwonu?

— Nie, nie, jeszcze dalej — het, het z głębi lasu.

Wtem zgasty złote promienie słoneczne, wierzchołki drzew stanęły w ognistej purpurze, blask czerwony, jak ogień, rozlał się w powietrzu. W lesie zapanowała dziwna cisza.

— Słońce zachodzi! — szepnął wzruszony królewicz i upadł na kolana, ażeby zaśpiewać pieśń wieczorną na chwałę Pana.

Potem wstał smutny.

— Słońce się już skryło i noc nadchodzi. Nie znalazłem, czego szukam nadaremnie, może nie znajdę nigdy! Lecz słońce jasne jeszcze chcę zobaczyć chociaż na chwilę. Z tej wysokiej skały ujrzę je, zanim skryje się pod widnokręgiem, pośpieszmy tylko.

Czepiając się korzeni i roślin kolących, wdziera się szybko na wilgotne skały, gdzie woda sączy się przez mech zielony, a ropuchy i żmije kryją pośród liści i poplątanych łodyg.

Śpieszy się, ale zdążył, zanim okrąg słońca zniknął pod horyzontem. I z piersi dziecka wyrwał się okrzyk zachwytu.

Przed nim, jak oko daleko zasięgnie, morze niezmierne, wspaniałe, bez końca, lśni purpurą i złotem, dąży do wybrzeży falą spienioną. A tam hen, daleko, gdzie błękitne niebo opiera swe brzegi na przejrzystej wodzie jak ołtarz purpurowy i złocisty, stoi płomienne słońce.



I wszystko korzy się, niby w świątyni: niebo i ziemia, las śpiewa pieśń chwały, a w sercu dziecka brzmi potężnie druga, jak wichra rwąca się pod Boże stopy. Cała natura stała się nagle kościołem, wystanym kobiercami żywych kwiatów, podpartym kolumnami drzew zielonych, o sklepieniu płonącym niby stos ofiarny, na którym blaski gasnące za chwilę nowe zastąpią światła, gwiazd miliardy.

Syn królewski wyciągnął ku niebu ramiona, a głos dzwonu słyszał wyraźnie nad sobą i w głębi serca. Teraz go zrozumiał! Teraz wie, skąd pochodzi i wie, że nie w każdym sercu ma echo równie silne i potężne, które iść każe za nim!

Obok siebie usłyszał jakby ciche tkanie i zwrócił się w tę stronę. Nie sam był tutaj: obok niego na kamieniu stoi ubogi chłopiec w krótkiej kurtce i drewnianych sabotach: po twarzy mu spływają łzy wielkiego szczęścia. I on wie, i on pojął!

Uścisk serdeczny złączył ręce dzieci i stali tak, jak bracia, syn królewski obok ubogiego chłopca w świątyni Bożej, gdzie jeden głos dzwonu wzywa wybrane serca.

